

Iść obok i po swojemu

Z Jerzym Binkowskim

rozmawia Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Kiedy poezja stała się dla ciebie ważna?

Poezja zawsze dla mnie istniała – tak jest z człowiekiem od zarania wpisanym w liturgię Kościoła; wychowywałem się u stryja, kapłana katolickiego. Co to znaczy dla dzieciaka: ministrantura po łacinie, nieszpory, Te Deum. Smak słowa poważnego, dostojnego. To jest cechą charakterystyczną mojej poezji, że szukam słów prostych, ale ukierunkowanych na sprawy ważne.

Zadebiutowałeś tomikiem poetyckim dość późno. Miałeś wtedy 34 lata.

Tak naprawdę pisałem zawsze. Ale też zawsze towarzyszyła mi świadomość trudu stworzenia języka indywidualnego – wiedziałem, że nie mówię po swojemu, że mówię jak wszyscy. To nie zachęcało do wyjścia na zewnątrz. Były też inne przeszkody – studiowałem na KUL-u, a to w owym czasie nie ułatwiało zaistnienie w życiu literackim.

Pamiętam cię, gdy pod koniec lat siedemdziesiątych brałeś udział w spotkaniach literackich, turniejach jednego wiersza, istniałeś w środowisku literackim Białegostoku.

Moje wejście w środowisko białostockie wyznaczają dwa nazwiska: Wiesława Kazaneckiego i Waldemara Smaszcz. Niektórzy mogą uznać to za przypadek, ale ja uważam, że towarzyszyła mi świadomość i umiejętność wyboru. W 1978 roku spotkałem się z Kazaneckim, który wówczas tworzył Białostocki Informator Kulturalny. Zaproponowałem my relacje ze szpitala psychiatrycznego. Wiesz, szpital, jako metafora świata. Później jednak wyprowadziliśmy się z Choroszczy, zmieniłem miejsce pracy i planów nie zrealizowałem. Natomiast w 1980 roku zadebiutowałem jako poeta właśnie w BIK-u. Z Waldkiem Smaszczem spotkałem się na wykładzie Jerzym Liebercie, który to poeta interesował mnie od dawna; tematem mojej pracy magisterskiej była analiza psychologiczna czterech liryków Lieberta. Wychodząc na to spotkanie powiedziałem do żony, że mam dziwne uczucie pewności, iż jest to dla mnie przełomowy moment. Po latach sędzę, że te dwie osoby: Wiesiek akceptujący próby poetyckie trzydziestoletniego mężczyzny i Waldek, najsurowszy po mojej żonie – krytyk, wprowadziły mnie w białostockie środowisko literackie.

Rok '83, rok twojego debiutu tomikiem *Akord* nie był czasem sprzyjającym wyjściu z poezją uwikłaną politycznie. Przypomnę ci dedykację, którą mi wówczas napisałeś: *Idź wyprostowany wśród tych co na kolanch.*

Akord był echem mojej determinacji i prawie szaleństwa, w które wtrącił mnie stan wojenny. To było wszechogarniające doświadczenie cierpienia. Jednym z utworów tegoż tomiku są *Lamentacje*, nawiązujące do biblijnych skarg Jeremiasza. Zostały wydane przez Wojewódzki Dom Kultury, wspólnie z tomikiem *Wszystkie działa na mnie* Marka Kusiby, który – dzięki większemu stażowi i poetyckiemu, i środowiskowemu – umiał znaleźć wydawcę i namówić go do tego wymagającego odwagi przedsięwzięcia.

Czy wydanie *Akordu* stało się wydarzeniem?

Recepcja w gruncie rzeczy była żadna. Ukazała się jedna recenzja obśmiewająca autora. Dopiero po latach ukazało się inne omówienie, w którym recenzentka napisała, że poezja Binkowskiego jest poezją poznania; pisząc twórca dokonuje rozeznania rzeczywistości. To mi się podobało.

Z twojego ostatniego tomiku *Głosy z pustyni* zniknęła polityka. Jedyne dyskretne obecność Polski w wierszu zamykającym tomik, przypomina jej burzliwą obecność w *Akordzie*.

Sprawa ojczyzny była dla mnie głębokim przeżyciem. Studia na KUL-u były kiedyś wyborem politycznym. Od początku nie chciałem wchodzić w system, ale iść obok i po swojemu: był to świadomy wybór osiemnastolatka.

To, że przesunęły się akcenty w mojej twórczości, wynika i z sytuacji Polski, przed którą po 9 roku otworzyły się nowe możliwości, i z biografii – jestem czterdziestoparoletnim mężczyzną i z innej perspektywy patrzę na doświadczenia życiowe. W *Głosach z pustyni* mówię o człowieku, który w gruncie rzeczy, mimo upływu wieków, nie zmienia się: jest zawsze sam ze swoimi nadziejami, z miłością, błędami, czasem z rozpaczą i żalem. Jest dla mnie bardzo ważne, żeby po swojemu mówić o samotności – sens prób poetyckich widzę w wydobywaniu swojego głosu, z własnej samotni. Spotykam się z takim odbiorem, że ja – czterdziestoletni starzec ...

Może nie człowieka starego ale mędrca, co się ze starością w pewien sposób wiąże; umiejętność spojrzenia z dystansu, filozoficzna zaduma. W *Głosach z pustyni* zaskoczył mnie wspaniale oddany klimat tamtej ziemi, tamtych czasów.

Postawiłem hipotezę, że natura człowieka, mężczyzny, się nie zmienia. I uznałem, że im lepiej obuduję ją konkretem, tym bardziej będzie czytelna i wiarygodna.

Jakie to były konkrety? Byleś wtedy w Libii...

Tomik pisałem po powrocie, ale nie mogłem zapomnieć i uwolnić się od tamtych realiów i różnicy kultur. A więc doświadczenie niesamowitych temperatur, wiatrów, wszechogarniającego piasku. Może Śródziemne, nad którym leży Libia, jest kilkakrotnie bardziej zasolone od Bałtyku, gdzie się wychowywałem – tę sól czułem na swojej skórze. Ból oczu porażonych słońcem i piaskiem. Ileż Rzymu w tamtym piasku! I różnice kulturowe – żona i dzieci były przy mnie bezpieczniejsze, pewniejsze. Tam musiałem zachowywać się szczególnie odpowiedzialnie. To był impuls, aby stać się bardziej odpowiedzialnym za słowo.

Czego się spodziewasz po Narodzie Literackiej Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, którą otrzymałeś za *Głosy z pustyni*?

Ta nagroda przyszła za późno.. Już jestem w innej fazie – kończę *W drodze z Damaszku*. A kiedy powstał nagrodzony tomik, miałem poczucie cudu twórczego Jakże pragnąłem, żeby ktoś usiadł i w zachwyceniu porozmawiał ze mną. Owszem, Bil-Jaruzelski dawał mi znaki, że cieszy się tym tomikiem Joanna Kulmowa zareagowała bardzo dobrze. Jerzy Rochowiak z Torunia cieszył się tak jakby odkrył nowego Słowackiego. Ale to wszystko. Młodzi skarżą się, że nikt nie promuje ich poezji. Ja ich poezję czytam, ale mam wrażenie, że oni nie czytają tego, co ja napisałem. (...) mogę powiedzieć, że Szczęsny zapowiada się na dobrego poetę, że Nachiło napisał kilka dobrych wierszy. Mógłbym młodym powiedzieć, kto pisze źle, bo to tylko bunt i bełkot. To jeszcze nie jest wartość. Dla nich – egzystencjalnie – tak, ale dla pejzażu poetyckiego – nie.. Oni nie rozmawiają ze mną, a ja wiem, że mógłbym być pośrednikiem między poezją „starą i anachroniczną” a młodą i bełkotliwą. Znam wyznaczniki dobrej poezji, ale oni nie chcą z tego skorzystać. Mamy w Białymstoku pierwszą ligę poetycką, ogólnopolską. Cieszę się z współistnienia w niej. Dobrzy poeci stanowią punkty orientacyjne- ja się wobec nich muszę usytuować, muszę się starać pisać inaczej, dookreślić swoją indywidualność. Ale jak to się dzieje,, że w tym rankingu nie ma Elżbiety Kozłowskiej-Świątkowskiej, Anny Markowej, Stefana Kamińskiego, że nie istnieją oni w świadomości kulturalnej białostoczan?

Jakich nasz mistrzów poetyckich?

Ciągle i zawsze Miłosza, z jego dostojnością słowa. Chciałbym tak pisać, żeby ktoś mógł mi zarzucić: ty jesteś tak samo poważny jak Miłosz.

A co ci zarzucają?

Że nie piszę dla ludzi.

Że to takie wydumane, ezoteryczne, filozoficzne?

Właśnie.

No, jesteś filozofem – ukończyłeś wydział filozofii chrześcijańskiej na KUL-u, jesteś psychologiem, reżyserem, poetą.. To upoważnia ciebie do zabierania głosu w sprawach naszej współczesności. Co mógłbyś nam poradzić?

Wszystko, co wymieniłaś nie daje mi prawa do zabierania głosu w tej materii.

A jakie rady dajesz sobie?

O, to jest dobrze postawiona kwestia. Przełomem w moim życiu było odkrycie, że jestem istotą wartościową, z samego faktu zaistnienia; wraz z tą świadomością opadły ze mnie nadzieje, że to ludzie mogą mnie dowartościować, zaakceptować, uznać. Ja przecież to mam od samego początku, nie muszę o to zabiegać. Ważne jest rozpoznanie powołania, przestrzeni do samorealizacji.

Jest nią poezja?

Tak, ale odkrycie tego zaskoczyło mnie. Na pewnych etapach życia był ważny dla mnie teatr, psychologia kliniczna. Teraz wiem, czego brakowało siedemnastolatkowi, który siadał na kanapie i próbował skoncentrować się na pierwszych „wierszykach”: że trzeba się skupić na wydobywaniu własnej odmienności. Każdy ma w życiu czas, kiedy chce się koniecznie upodobnić do innych, bo lęka się, że w przeciwnym razie nazwą go odmieńcem

Ukończyłeś Wydział Reżyserii Teatru Lalek w Państwowej Wyższej Szkole teatralnej. Czy to profesja nieprzydatna, nieużyteczna?

Szkoła teatralna dała mi pewność w kontakcie z młodzieżą; ugruntowała sprawności warsztatowe; dała orientację w konwencjach, literaturze, dramacie. Wiem, że młodzież nie potrzebuje prowadzenia za rączkę. Potrzebuje znaków orientacyjnych, wytyczania mapy. Wydaje mi się, że ja z moją znajomością i poczuciem dobrej poezji, ćwiczę ich smak; spełniam swoje dyskretne zapotrzebowanie na odgrywanie roli mędrca.

Kto ci najbardziej pomógł w rozwoju?

Rodzina. Rodzina nie daje człowiekowi stanąć w miejscu. Moje dzieci – już kilkunastoletnie – sprowadzają mnie do parteru. Byłem w młodości zapaśnikiem w stylu klasycznym.; sprowadzenie do parteru to rzucenie na kolana i łokcie... nisko, ale nie na łopatki. Żona i dzieci zmuszają mnie do realistycznego patrzenia na życie. Ostatnio zaczynają doceniać moją twórczość. Osiągnięcie tego bardzo długo trwało. „Te twoje wierszyczki” – to były sceptyczne kolce w wypowiedziach mojej żony. A teraz już nie. Moja żona jest pielęgniarką. Musi być realistką. I dobrym duchem. Mnie się zdarzało chodzić na palcach po ziemi i hen gdzieś tam się wspinać. Teraz jest dla mnie oczywiste, że spełnienie każdego życia polega na wypełnieniu przestrzeni między niebem i ziemią.